

TADEUSZ KRZĘCIEWSKI

ur. 1946; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, ulica Kunickiego, cegielnia Rola, cegielnia Dziesiąta, Zofia Korulska, Stanisław Krzęciewski, Andrzej Krzęciewski, praca w cegielni, projekt Lubelskie cegielnie. Materia miasta

Cegielnia Rola przy ulicy Kunickiego

Urodziłem się w centrum miasta, na ulicy Staszica 9, vis-a-vis kościoła. Przed wojną ta ulica nazywała się Szpitalna. Po wojnie mój ojciec z racji tego, że był oficerem Wojska Polskiego, otrzymał tam mieszkanie na trzecim piętrze. Na pierwszym piętrze, jeszcze przed wojną, mieszkała moja ciocia, Zofia Korulska, która też była współdzierżawcą cegielni Rola, włącznie z rodzonym bratem, Stanisławem Krzęciewskim i moim ojcem. Ta trójka, od 1946 albo 1947 roku dzierżawiła ruiny cegielni przy ulicy Bychawskiej. Cegielnia była zlokalizowana u zbiegu ulic Kunickiego, Mickiewicza, Zemborzyckiej i Słowackiego, przed wojną Bychawska 107. W tej chwili jest tam usytuowany stadion Sygnału. Tam jest takie wgłębienie, bo tam była kopalnia gliny.

Moja ciocia, Zofia Korulska, była właścicielem, jeszcze przed wojną, cegielni na Rurach. To była nieduża cegielnia. Patrząc według dzisiejszego zagospodarowania terenu, na ulicy Głębokiej, po lewej stronie jest stacja benzynowa, po prawej - tak zwany Dom Studenta Zaocznego. Tam pół kilometra dalej, na wzgórzu była właśnie cegielnia. Dlatego też moja ciocia jako główny motor zainteresowała się po wojnie cegielnią na ulicy Bychawskiej 107. Cegielnia ta była bardzo zdewastowana przez Niemców. Do produkcji cegły za czasów okupacji wykorzystywali więźniów z Majdanka. Po wojnie moja rodzina zainwestowała ogromne pieniądze w odbudowę tej cegielni. Zasoby gliny, która służyła do wyrobu cegły, były dosyć ograniczone. Tylko w tym kwadracie: Słowackiego, Mickiewicza i Zemborzyckiej można było glinę wydobywać. Ziemia pod cegielnią i w pobliżu była własnością Skarbu Państwa. Wcześniej oczywiście, parędziesiąt czy paręset lat temu, to była ziemia prywatna, ale później miasto to przejęło, to było związane nawet z parcelacją majątku Dziesiąta. Tam powstawały działki budowlane. Oni całkowicie odbudowali tę cegielnię. To

znaczy, trzeba było wyremontować komin, który został częściowo uszkodzony. Nie było dachu nad piecem w tej cegielni. Wszystkie szopy były zrujnowane.

Gdyby stanąć w tej chwili przy stacji benzynowej na ulicy Kunickiego i patrzeć na stadion Sygnału, to z przodu był taki budynek przylepiony do pieca, gdzie mieszkał palacz. Wchodziło się po schodach i on mieszkał na pierwszym piętrze. Nawet pamiętam, że budynek był na biało otynkowany czy może wapnem pomalowany, bo to takie były czasy. Obok był komin olbrzymi, wysoki, i dalej piec. Piec to jest taka budowla wysokości może ośmiu, może dziesięciu metrów. Taki owalny budynek, patrząc z góry. Dach był pokryty papą. Piec był podzielony na komory, do każdej komory wchodziło się oddzielnie. Nie było tam drzwi żadnych, tylko takie jakby łukowe zakończenie wejścia.

Jeżeli chodzi o produkcję cegły, to trzeba było najpierw wykopać glinę. To się wszystko ręcznie robiło. Pamiętam jak dzisiaj te szpadle, które się na srebrno świeciły, tak były wytarte od wykopywanej ziemi. To było podstawowe narzędzie. Każdy kopacz po ukończonej pracy nawet nie mył, tylko czyścił na sucho swoją łopatę. Po wykopaniu gliny to się ją albo taczkami woziło, albo też były tory, gdzieś 60-70 centymetrów szerokości, po których jeździły wózki, w postaci tak zwanej koleby, patrząc na nie z boku, miały trójkątny kształt. Jak się naładowało gliną, była taka rączka, odblokowywało się i wysypywała się glina. Glinę trzeba było przewieźć do murowanego dołu, podzielonego na cztery części. W tym dole było mieszadło. Pośrodku była oś, dyszel i w kółko chodził koń. Jak tę glinę się wsypało, trzeba było ją zalać wodą. Był olbrzymi problem z wodą, w początkowym okresie nie było do niej dostępu. Później ojciec razem z bratem i z siostrą zainwestowali i wykopano studnię głębinową. Ale wcześniej wodę wyłącznie dowożono beczkami z pobliskiej rzeki. A to jest jakiś kilometr do tej rzeki. Glinę się zalewało wodą i to tak stało dzień, dwa. Potem uruchamiano mieszadło, koń chodził w kółko, mieszał tą glinę. Koń miał kłapki na oczach, które zakładano, żeby spokojnie się zachowywał. Jak on pomieszał tę glinę, to wchodził pracownik w gumowcach i łopatą ładował ją na taczki. Następny pracownik z tą tawką jechał na tak zwany plac.

W cegielni było parę tych placów, pomiędzy szopami. Szopy służyły do suszenia gliny. To też były konstrukcje drewniane, otwarte, pokryte papą. Place do produkcji musiały być idealnie czyste, płaskie, bez żadnych dołków. Tak jak na stole musiało być. Taki plac mógł mieć 15 metrów szerokości, 20 długości. W sumie ich długość pokrywała się z długością szop. Wracając do tej mokrej gliny, przywoziło się ją na tak zwany stół. Na tym stole glina była w postaci jakby miękkiej plasteliny. Tam już czekały panie, które się nazywały formiarki. Te formiarki miały taki przyrząd. Żeby to sobie wyobrazić, to tak jakby dwie szufladki z pudełek od zapalek bokami przylepić i do tego były rączki. I jeszcze formiarki miały kupkę piachu. To wszystko odbywało się

błyskawicznie. Zasypały te formy piachem takim małym ruchem, po to, żeby się glina nie przylepiła. Potem robiły takie kule z tej gliny i musiały z całej siły walnąć, w jedno pudełeczko, w drugie. Później miały taki jakby nóż i przesuwaly to błyskawicznie, raz, drugi i obcinały nadmiar gliny. Potem z tym – to już parę kilogramów ważyło – biegły na plac. Przewracały formę odwrotnie i cegły w postaci masy jak miękka plastelina kładły się na tym idealnie płaskim placu. Najgorzej było na początku zawsze, bo najdalej musiały polecieć. I znowu biegły, znowu ta sama czynność, pyk, pyk, bzyk, obcinały i znowu leciały, i znowu. Tak przez cały dzień myślę, że paręset sztuk tej cegły potrafiła jedna formiarka wyprodukować.

Taka cegła leżała sobie na płask. Każdy się modlił, żeby nie było jakiejś burzy, bo sezon dla cegielni, to tak maj, czerwiec, lipiec, sierpień i koniec. Po paru dniach, jak już ta cegła surowa - to było określenie fachowe - była dostatecznie sucha, trzeba było ją skantować. Co to znaczy skantować? To znaczy, że jak leżała na płask, to trzeba było ją postawić w pion. Oczywiście wszystko ręcznie, każdą cegłą. I taka skantowana cegła też jeszcze leżała jakiś czas, dopóki nie była odpowiednio twarda. A to sprawdzało się stukając w cegłą i jakiś odpowiedni dźwięk musiał się wydobywać. Następnie trzeba było ją przenieść do tych szop, tak zwanych suszarni. Suszarnie były tylko na słupach drewnianych, ze wszystkich stron odkryte, tylko dach był. Tam taczkami zwożono cegłą i układano w odpowiedni sposób i to dosyć długo się suszyło. Cegła była już praktycznie twarda jak kamień. To fachowcy, ceramicy wiedzieli, kiedy się nadaje do wypału.

Piec był podzielony na komory w kółko. Tu, gdzie się kończyły komory, był strop i w stropie były otwory o średnicy 15-20 centymetrów. Nad każdą komorą było po kilkanaście takich otworów z przykrywkami metalowymi po to, żeby tam sypać miał węglowy. Bo cegły wypalało się, korzystając z miału węglowego. Ten miał był przywożony pod piec, pamiętam takie olbrzymie hałdy. Tu była najtrudniejsza praca dla robotnika, bo nie tylko, że musiał załadować taczkę, to jeszcze wjechać nią po takiej rampie na wysokość 5-6 metrów. Pamiętam, że pomagało mu jeden albo dwóch dodatkowych pracowników, którzy mieli takie rączki i liny i wciągali po tej rampie na górę. Tam ten miał był gromadzony na górze.

Trzeba było poustawiać w komorach suchą cegłą. Oczywiście to było odpowiednio ustawiane, nie tak, że jedna cegła na drugiej. To była odpowiednia technika, dlatego że trzeba było stworzyć kanały dla przepływu powietrza. Tak jak piece kaflowe też w środku mają odpowiednie kanały dla przepływu dymu i dopływu powietrza. Podpalano to od dołu. Wejście do komory też zastawiano tą cegłą suchą, niewypaloną. Jeszcze trzeba było to zasmarować gliną. Także to tak jakby zatynkowano z przodu. Już jak podpalono, to później od góry sypano ten miał. Jak palacz otwierał przykrywkę, to widać było, że cegły wszystkie były też czerwone. I

cegły, i miał, to wszystko tak się aż żarzyło. Nie wiem, ile dni trzeba było wypalać, ale na pewno nie jeden. W międzyczasie uzupełniano następne komory suchą cegłą. Potem, w odpowiedni sposób ogień jakby przemieszczał się na następne komory i znowu palacz zasypywał. Nie tylko to wejście zasmarowywano, budowano jeszcze jakby ścianę ogniową, która oddzielała następną komorę czy tam następne trzy, cztery komory. Bo przeważnie parę komór uruchamiano.

Jak już się wszystko wystudziło, to z powrotem rozbierano ściankę w wejściu i znowu taczkami wywożono cegłę na zewnątrz i układano. Tu też była specjalna technika. Nie pamiętam, myślę, że po sto cegieł ustawiano na takich stertach. To był taki prostopadłościan pionowy i jeszcze na górze był sześcian z cegieł układany. Tak jakby kominek na tym. Tak stały cegły już do sprzedaży.

Zawsze klasyfikowano cegłę w zależności od koloru, bo kolor świadczył o jakości. Cegła koloru buraczkowoczerwonego była, jeżeli dobrze pamiętam, pierwsza gatunkowo. Natomiast często się zdarzało, że w ceglach były jakieś zanieczyszczenia, na przykład od tego miału węglowego. Miał był różnej jakości i miały prawo przylepić się później jakieś kamyczki. To był drugi gatunek. Były także połówki, bo później się sprzedawało i połówki. Przy wyjmowaniu z pieca nieraz się ta cegła złamała. Te połówki były stosunkowo tanie.

Wracając do historii cegielni, to później, między 1947 a 1950 rokiem wybudowali studnię głębinową. Wszystko to legło w ruinach w 1950 roku, jak upaństwowiono tę cegielnię. Czyli cały majątek stracili, cegłę, maszyny. Każdy do tej spółki, czyli ciocia, wujek i ojciec, wnosił majątek jakiś, wkład. Ojciec miał tory kolejowe, całą kolejkę koleb, traktor angielski, przyczepę. I wiele innych rzeczy, które są w spisie, protokołach z 1950 roku.

Data i miejsce nagrania	2018-04-10, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"